

**Rafał Marszałek: *Niedoczas.***  
Wydawnictwo słowo/obraz teryto-  
ria. Gdańsk 2019, s. 200.

Zagadkowy tytuł zbioru opowiadań Rafała Marszałka – wiernego X Muzie, jak podkreśla na okładce wydawca, autora wielu książek o filmie (m.in. ostatnie *Filmowa pop-historia, Kino rzeczy znalezionych*), a także mistrza *od wczesnych lat zanurzonego w świecie szachowym, niegdyś reprezentanta Polski w tej dziedzinie* – może prowadzić po lekturze tych tekstów do różnych jego interpretacji. Z pewnością podana informacja „szachowa” powinna być szczególnie przydatna w odbiorze i rozumieniu sensu niektórych opowiadań, ale niekoniecznie wiążąca. Jak wiemy w „Odrze”, twórczość stanowi od pewnego czasu dodatkowe, choć nie poboczne zajęcie autora, który swoje literackie uzdolnienia rozwijał jeszcze od 1981 roku, kiedy to publikację swego pierwszego opowiadania powierzył naszemu miesięcznikowi. Treść pierwszego z tekstów zamieszczonych w tomie, *Olimpiada w Tokio*, wraca do jeszcze bardziej zamierzonych czasów, kiedy to jego bohater, oczywiście do pewnego stopnia alter ego Marszałka, jako dziewiętnastolatek postanawia powalczyć o tytuł szachowego mistrza Polski juniorów roku 1960 i w tym celu udaje się na miejsce odpowiednich rozgrywek zlokalizowane w Sopocie. Ta barwna i żywa opowieść, rozgrywająca się na tle nadmorskich plaż, lokali i hoteli (Grand), wzbogacona jest o galerię przedstawionych tu oryginalnych postaci, z których każda kolejna swymi predyspozycjami, fascynacjami, temperamentem przebija poprzednie. W finale, kiedy to *źródło bijące pod Grand Hotelem wyschło pod koniec sierpnia. Sobowtór Kmicica wyjechał, inni nie kwapili się do gry*, bohater zaczyna się obawiać już czegoś innego niż wtargnięcia nieprzyjacielskich wież na drugą linię. I zapewne w trybie swego „niedoczasu”, realizowanego już w innych niż sportowe

dziedzinach, w szachy grywa on potem niezmiernie rzadko, a spotykani przypadkowo jego dawni znajomi, zawodnicy posługujący się tymi „wieżami”, nie pamiętają ani jego, ani swoich wyczynów z lat młodości i potrafią, jak przypadkowo zauważony w Ciechocinku elegancki pan Ludwik z dawnego Sopotu, nie poznając partnera z „olimpiady”, już tylko na ławce w parku *posiedzieć w milczeniu. Nie było o czym gadać.*

Jednak tytuł tego mocno spóźnionego debiutu książkowego Rafała Marszałka odnosi się oczywiście nie tylko do dawnych jego doświadczeń i fascynacji. Sygnał „niedoczasu”, typowego zdaniem autora dla zawodów i porażek obserwowanego z dłuższej perspektywy życia ludzkiego, generalnie pełni rolę swoistej kategorii odniesień dla struktury narracyjnej tych tekstów. W tytułowym opowiadaniu tomu śledzimy losy innego uzdolnionego, tym razem muzycznie, bohatera, który staje w obliczu bardzo dlań obiecującego wyzwania i w związku z nim walczy z opresją stającego na przekór jego ambitnym zamierzeniom czasu, by po końcowym wybrnięciu z trudnych sytuacji zostać przez ten czas ostatecznie pokonanym. Jest to utalentowany, głodny sukcesów, ale rzadko zapraszany na koncerty pianista polski, który po porażce w krajowym Konkursie Chopinowskim triumfuje – niespodziewanie też dla siebie – w Europejskim Konkursie Młodych Talentów w Ostendzie (a to z powodu niezbyt mocnej konkurencji w osobach *mało wprawnych Belgów* i Holendra *niepokojąco przypominającego niedzielnego turystę*), dzięki czemu zostaje zaproszony na uroczysty koncert uświetniający jubileusz miasta N. w Szwajcarii. Treść opowiadania (krótko komentującego fazy wcześniejszej biografii bohatera) skupia się głównie na przebiegu podjętej przez przedstawionego tu jako A.M. muzyka podróży do Zurychu, a potem do owego N. Ta podróż staje się więc centralnym wątkiem narracji; obfituje bowiem w serię trudnych do przewidzenia niepowodzeń, wynikających nie tyle z rzeczywistej niezaradności życiowej laureata (nb. niezbyt liczącej się w Europie nagrody muzycznej zaproszonego na jeszcze mniej się liczący

lokalny koncert w szwajcarskim kurorcie), ile z niezwyklej koincydencji przypadków drogowych, kolejowych i lotniczych, utrudniających bohaterowi realizację podjętej propozycji w zaplanowanym czasie. Seria nieszczęść dopada także pośredników uczestniczących w tej wyprawie – taksówkarza, który z powodu zatorów na ulicach Warszawy dowozi pianistę na lotnisko w ostatniej chwili, potem załogi samolotu opóźniającej lot, na szczęście nie na tyle, by A.M. nie mógł zdążyć na ostatni pociąg z Zurychu do N., ale tu następuje kolejna kolizja, mianowicie sygnał: *człowiek na torze* wstrzymuje na dłużej przejazd, a potem dochodzą kłopoty z dojazdem na miejsce w szwajcarskiej taksówce. Jednak pianista dociera na koncert z kilkuminutowym opóźnieniem. Niestety nie kończy się pech: niedoczas, czyli w tym przypadku nieznaalezienie się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu, doprowadza do prawdziwej dla A.M. katastrofy – mianowicie kiedy gna już w stolicy z lotniska do mieszkania, by pochwalić się sukcesem przed wyczekującą go tam z niepokojem Wera, przed domem zastaje karetkę pogotowia i zmartwionych sąsiadów, a potem opuszczone przez żonę na materacu wgłębienie, gdzie *z samego dołu ku drewnianej obudowie postania szedł chłód. Chłód dogłębny i nieodwołalny.*

Jeśli narracja tej opowieści osiąga niekiedy tempo niemal thrillera, kolejna w tomie, nieprzypadkowo opatrzona tytułem *Prosta historia*, poddaje się prawom konwencji epickiej z licznymi filozoficznymi i literackimi podtekstami, choć uprawianej z mocnym akcentem groteskowym – np. postępowanie jednej z postaci przypomina tu sylwetkę *Brutusa*, a u innej odwoływanie się do kłamstwa wręcz *wydłuża nos jak u Pinokia*. A w tle tej historii czają się zarysy *nadciągającej apokalipsy*, bowiem dzieje się ona w niebezpiecznym dla ludzkości okresie przełomu wieków: *Najbiedniejsi mieszkańcy globu, zapomniani w buszu i tropikach, nie domyślali się nawet, jakie wyzwanie rzucił ludzkości zbliżający się rok 2000...* Nie wdając się już w szczegóły innych wyzwań, poświęćmy uwagę temu z nich, przed jakim stanął w tym roku sprawozdawca „prostej historii”, którego mia-

nowicie odwiedził w Warszawie najbliższy niegdyś przyjaciel z lat młodości. Ów Lutek (*Brutus*), który wiele lat temu przeniósł się z PRL-u do Stanów, po powrocie do kraju dąży do pogłębienia dawnej przyjaźni z bohaterem opowiadania i nieustannie zabiega o spotkania z nim, ale dziwnym trafem i sposobem zawsze w ostatniej chwili wycofuje się, a przypadkowo zobaczony kiedyś podczas seansu w kinie, ucieka z widowni. Podobnie zmyłkową grę prowadzi Lutek ze swą dawną ukochaną Zosią (owym *Pinokiem*), z którą umawia się w kawiarni i mimo że ona siada obok, a potem staje obok niego, prawie dotyka się z nim ramionami, po prostu odchodzi – co ona sobie tłumaczy swoją rzucającą się w oczy *nadwagą i okropnym widokiem*. Lecz po interwencji telefonicznej bohatera w sprawie tego nieudanego spotkania z Zosią Lutkowi brakuje słów, żeby oddać swe poczucie krzywdy: *Czy ty w ogóle rozumiesz, co powiedziałeś? To ohydne. Bo żeby wszystko już było jasne: ja nigdy Zosi kochać nie przestałem*. Bańka mijającego „niedoczasu” – wyznaczająca okres nieobecności Lutka w Polsce i jego nieprzystawalności do nowych realiów polskich – ostatecznie w sposób dramatyczny i zarazem groteskowy oddziela tę wcześniej korespondującą z sobą i pragnącą się spotkać po latach parę. I skazuje relacjonującego te „historie” bohatera na domysły w samotności tudzież ostateczne wyłączenie swojej komórki i metaforyczną pointę w finale: *Niewytłumaczalne napięcie przenikało się z oszołomieniem. Łucznik mierzy do oddalonej, coraz mniej widocznej tarczy. Może zawodzi go drżąca ręka, może wzrok mu mętnieje. Dziwne, że cięciwa łuku pozostaje do końca odgięta.*

Mieczysław Orski